Romuald Kołodziejczyk- Moje wspomnienia- Lida

W latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku moi rodzice Stefania Bielańska i Roman Kołodziejczyk pracowali, jako nauczyciele w powiecie Lida. Skierowano ich tam, aby jak wtedy mówiono „wzmacniać żywioł polski". Stefania i Roman rzadko do tej pory opuszczali opłotki Sokala, gdzie urodziła się mama i Szczebrzeszyna skąd pochodził ojciec. Stefania była na wakacjach w Wetlinie u wujka Mikołaja tamtejszego nauczyciela a Roman w roku 1920, jako ochotnik w wojnie z bolszewikami, odbył ze swoim szwadronem kilku tygodniowy „szlak wojenny" walcząc na terenach pomiędzy Zamościem a Międzyrzeczem Podlaskim.

Teraz znaleźli się w bardzo trudnych warunkach cywilizacyjnych, jakże odmiennych od dotychczasowych. Dość powiedzieć, że mama z zaścianka szlacheckiego Pacielunce, w którym mieszkała i uczyła, miała do najbliższej stacji kolejowej 31 km. Ojciec uczący w białoruskiej miejscowości Podzitwa miał jeszcze dalej niż mama, bo aż 41 km. Najpierw trzeba było dostać się- piechotą, rowerem lub furmanką do odległego dla mamy o 8 km a dla ojca o 18 km Radunia, w którym był najbliższy kościół rzymskokatolicki i sklepy. Potem 23 km autobusem do stacji kolejowej o nazwie Bastuny. Z Bastun pociągiem około dziewięćdziesięciu km. do Wilna, lub dwadzieścia km. w odwrotnym kierunku, do Lidy. Jeżeli trzeba było jechać do lekarza, lub służbowo do inspektoratu, czy innego urzędu jechało się do powiatowej Lidy. Jeżeli na większe zakupy, czy „do kultury" to do Wilna. Ile razy w roku można było pojechać do Wilna czy Lidy?

Nazwę zaścianka Pacielunce, w którym mama uczyła, miejscowi wymawiali bardzo, bardzo powoli, jak wszystko, co robiiiili i mówiiiili „wilniuki", z białoruska i zaśpiewem wileńskim: Pacjełuuuuńci. Mama miała tam dobre warunki bytowe, bowiem zaścianek szlachecki różnił się od wsi białoruskich nie tylko świadomością pochodzenia, wyższą kulturą i innymi obyczajami, świetnie opisanymi przez Orzeszkową w powieści „Nad Niemnem", ale nie było tam kurnych chat- były normalne domy. Nasz gospodarz miał np. pięknego białego konia przypominającego raczej konia pod wierzch, niż zabiedzonego kudłatego chłopskiego konika wprzęganego do hołobli. Na tym koniu jeździł do Radunia na zakupy Piaaatrjek, (Piotrek) syn gospodarza.

Pierwszy zapamiętany stamtąd obrazek, jak ubrany w czapeczkę i płaszczyk piłem z małej szklaneczki śmietankę z jakimś równolatkiem. Była, więc tam centryfuga- urządzenie do odwirowania śmietanki, urządzenie w tamtych czasach bardzo mało znane. Ponieważ byłem ubrany w płaszczyk było to poza domem, być może u kolegi, lub sąsiadów. Drugi zapamiętany obrazek- siedzę, w stojącym na niewybrukowanym rynku (pewnie Raduń) autobusie i widzę przejeżdżającego na białym koniu mężczyznę- krzyczę wniebogłosy: mama Piaaatrjek! Piaaatrjek! Trzeci: ludzi pędzących ze sznurami- w bagnach topiła się krowa.

Ojciec miał gorzej- uczył we wsi Podzitwa, wymawianej Padziiiitwa, otoczonej nieprzebytymi bagnami, z ludnością białoruską wrogo nastawioną do polskiej szkoły, chcących jej przekształcenia w szkołę białoruską. Jak mi mówił wiele lat później pewien białoruski profesor: mój ojciec Białorusin musiał aię uczyć polskiej zamiast białoruskiej historii, literatury i wszystkich przedmiotów w języku polskim.

Pacielunce 2 cm od góry po środku. Obok w prawo Paszkiewice i Butrymy- zanajdą się u Sienkiewicza. U dołu suchego lądu też po środku mapy Podzitwa. Miejscowości oznaczone literami „Ok." to Okolica- po naszemu szlacheckie zaścianki. Było ich tam wyjątkowo dużo. Zjazd szlachty okolicznej= zjazd szlachty zaściankowej.

Ludzie w białoruskich wsiach mieszkali w kurnych chatach. Drogi były polne, nieutwardzone- ziemia uboga. Jedzono to, co ziemia urodziła, dał las, co wyhodowano i co złowiono w jeziorach. Na przednówku do resztek mąki dosypywano zmielone żołędzie, a i tak cierpiano głód. Chodzono w tym, co utkano z lnu i wełny, na nogach noszono łapcie z łyka. Zimą bogatsi mieli buty i kożuchy z wyprawionej przez miejscowych skóry.

Można chyba sobie wyobrazić brud i zaduch w chatach, a także poziom higieny. Bieda była nieopisana, oficjalnie nazywano te tereny Polską „C". Jedyny zarobek przynosiły ogromne zbiory grzybów, które po wysuszeniu sprzedawano za grosze przyjeżdżającym specjalnie po nie żydowskim kupcom. Pieniędzy za grzyby wystarczało na sól, ale już nie na naftę. Świecono łuczywem, chodzono spać „z kurami".

Zima. Na targu w Lidzie. Drugi z prawej w łapciach. Z tyłu po lewej „miastowy" w kaszkiecie i koń w hołoblach.

Prawie nikt nie mógł pozwolić sobie na lekarza, zresztą najbliższy mieszkał bardzo daleko- w Lidzie. Zastępowali ich znachorzy i baby- szeptuchy. Mama zapewne, pomimo niezłych warunków życia w szlacheckim zaścianku, bała się rodzić mnie w miejscowości tak odległej od szpitala czy lekarza. Dlaczego jednak zdecydowała się rodzić mnie w Szczebrzeszynie, rodzinnym mieście mojego ojca, gdzie wszyscy w zasadzie byli dla niej obcy, a nie w Sokalu, gdzie miała duży powiatowy szpital, swoją matkę i dwie siostry? Nie wiem- żałuję, że nigdy mamy o to nie zapytałam. Niewykluczone, że właśnie zmarła jej matka i w Sokalu panowała żałoba.

Sporządzający akt mojego urodzenia, nr 214 z 1930 r., w parafii kościoła p.w. św. Mikołaja w Szczebrzeszynie, zapisał: „Działo się w mieście Szczebrzeszynie, dnia piątego lipca, tysiąc dziewięćset trzydziestego roku, o godzinie piątej po południu. Stawił się Roman Kołodziejczyk, lat dwadzieścia sześć liczący, nauczyciel z Podzitwy, powiatu Lidzkiego, czasowo w Szczebrzeszynie zamieszkały, w obecności Wacława Zygmunta Niechaja, lat dwadzieścia pięć medyka z Wilna i Antoniny Zofii Bielańskiej, lat dwadzieścia sześć nauczycielki z Sokala i okazał Nam dziecię płci męskiej urodzone w

Szczebrzeszynie, dnia dwudziestego ósmego maja, roku bieżącego, o godzinie ósmej rano z jego małżonki Stefanii z Bielańskich lat dwadzieścia cztery liczącej. Dziecięciu temu na chrzcie świętym dziś przez Księdza Henryka Blicharskiego odbytym nadano imiona Romuald Janusz, a rodzicami chrzestnymi byli: Wacław Zygmunt Niechaj i Antonina Zofia Bielańska; opóźnienie aktu nastąpiło z powodu zajęć służbowych ojca dziecięcia".

Po kilku miesiącach mama wróciła ze mną do swej pracy i tam spędziłem pierwsze lata swojego dzieciństwa. Tam nauczyłem się mówić, oczywiście zaciągając zaśpiewem wileńskim. Jeden z Kimaczyńskich, ciotecznych braci mojego ojca, profesor Akademii Muzycznej w Warszawie bywając na urlopie w Szczebrzeszynie prosił mnie: powiedz coś jeszcze, tak pięknie zaciągasz.

Ojciec mój był członkiem i działaczem Narodowej Demokracji zwanej pospolicie endecją od początkowych liter nazwy partii. Partia Dmowskiego i hr. Maurycego Zamoyskiego była w ostrej opozycji do Piłsudskiego. W ostrej opozycji był też ojciec.

Na początku lat 30-tych XX wieku zaczęto rugować nieposłusznych rządom Piłsudskiego nauczycieli w sposób barbarzyński- odbierając im prawo nauczania. Spotkało to ojca a po kilku latach także mamę. Wobec niemożliwości znalezienia jakiejkolwiek pracy w wyuczonym zawodzie rodzice przyjechali do Szczebrzeszyna rodzinnego miasta ojca i zakupili kilkanaście hektarów ziemi z parcelowanego folwarku „Brody Stare" a także stojący obok tej ziemi dworek wybudowany w pierwszym ćwierćwieczu XIX wieku, nazywany Szlakówką od stanowiska mieszkających tam wysokiej rangi, zaufanych urzędników Ordynacji Zamojskiej- szlakowych.